Rok 1894. We Lwowie, Poniedziałek dnia 25 czerwca Nr. 24.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO"

pod redakcją *Stanisława Rossowskiego.*

Szczęście.

Próżno szukamy szczęścia w uciech szale,
Co piersi nasze chwilowo rozsadza,
W łudzących blaskach, w znikomej pochwale,
Która w nas tylko czczą pychę wyradza.

Ani rozkoszy nieuchwytne fale,
Ani zaszczytów krótkotrwała władza,
Nie da nam szczęścia!... Czyż go nie ma wcale?
Czy też nas tylko ustawicznie zdradza?

Szczęście — to szczytny, to szlachetny związek
Dwóch dusz na ziemi; to kwiat zawsze świeży,
Wykwitający z przyjaźni gałązek;

To polot myśli, co za prawdą bieży,
I niezachwianie w dobro, w piękno wierzy,
To wypełniony ściśle obowiązek!

J. Klemensiewicz.

Cmentarz oceanu Atlantyckiego.

Dzienniki francuskie donoszą o groźnem zapadaniu się jednej z wysp położonych w północnych stronach oceanu Atlantyckiego. Wyspa ta nazywa się „Sable Island," co znaczy wyspa mgły i ciemności. Nazwa dość usprawiedliwiona, gdyż przez trzy kwartały roku panują tam nieustanne burze i ciężkie mgły. Kto pomieszka na tej wyspie przynajmniej przez miesiąc, ten nauczy się kochać słońce i jego dobroczynne promienie, rozbudzające wszędzie życie, ale, mimo braku słonecznego ciepła, w sercach mieszkańców tego zakątka rowija się oddawna, jak nigdzie na ziemi, gorące uczucie miłości bliźniego. Ale o tem później.

Tymczasem wracamy do wiadomości, podanej przez dzienniki francuskie, że wyspę zniżającą się nieustannie, fale morskie zalewają coraz bardziej i że uszkodziły już sławną latarnię morską.

Wysepka położona samotnie wśród oceanu, od najbliższego portu Halifax (w Nowej-Szkocji) oddalona o 150 mil morskich, posiada 20 mil morskich długości; szerokość jej w najszerszem miejscu wynosi zaledwie tysiąc kroków. Trochę ostrej morskiej trawy i dziki groch, zapuszczający korzenie w kamienistą ziemię, stanowią całą roślinność wyspy, zresztą widać wokoło tylko piasek.

Powierzchnia wysepki składa się z dwóch, równolegle biegnących ław piaszczystych, po między niemi leży dolina, którą napływająca tu woda morska coraz bardziej zmienia w jezioro. Zdarza się często w czasie burzy, iż rozszalałe bałwany przerzucają stada psów morskich przez ławy piaszczyste do owego małego jeziora w środku wysepki. Daje to pojęcie, jakiej mocy panują tu wichry.

U końców wysepki ławy piaszczyste się łączą. W tych miejscowościach urządzono latarnie morskie, ostrzegające statki, które miałyby zamiar zbyt blisko podpłynąć do niebezpiecznej wyspy Piaszczyste odnogi ław ciągną się na przestrzeni wielu mil po za latarniami morskiemi, tu i ówdzie ukazują z pod fal swe grzbiety i wytwarzają niezmierne niebezpieczeństwo dla żeglarzy. Niedarmo też przestrzeń 300 mil morskich wokoło wyspy nazywa się „cmentarzem oceanu Atlantyckiego". Według danych statystycznych, od lat trzydziestu na piaskach „Sable Island" ginie rocznie przecięciowo 4 statki 80 ludzi. Mowa tu naturalnie o takich wypadkach, które napewno można było stwierdzić, gdyż o tych, które wydarzyły się w nocy podczas strasznych burz i dają znać o sobie tylko szczątkami okrętów i zwłokami topielców, brak nam zawsze pewnych wiadomości. W miarę, jak zaludniały się północne kraje Ameryki, „Sable Island" stawała się głośną, najpierw z przyczyny niebezpieczeństw, na jakie naraża żeglarzy, powtóre z zakładów dobroczynnych, które powstały w wieku zeszłym, rozwijały się stopniowo, a zmieniły w godne uwagi „Humane Etablishment," stanowiące chlubę ludzkości.

Cała wyspa jest jednym wielkim zakładem filantropijnym. Zamieszknje ją tylko 50 osób. Są to prawie wszyscy ludzie, pozostający w usługach zakładu, a jedynem ich powołaniem jest ratować tonących, udzielać statkom pomocy, dawać przytułek rozbitkom.

Ludzie ci najzupełniej odcięci są od świata gdyż i na wiosnę okręty z Halifax, przybywające z ładunkami węgla, mięsa i rozmaitemi zapasami żywności, nie mogą dotrzeć do brzegu, bo ławy piaszczyste, nawet gdy morze spokojne, są niebezpieczne z powodu mgły, która zapada nagle i niespodziewanie. Kilka lat temu statek rządowy „Królowa Marja-Anna", wysłany do „Sable Island", zginął podczas strasznej burzy śnieżnej i ani jeden człowiek z załogi nie oca-

---

ŻUSIA.

Powieść spółczesna

W TRZECH CZĘŚCIACH

TEODORA TOMASZA JEŻA.

(Ciąg dalszy)

Gdy pojazd ruszył," zaczęła:

— Zauważyłaś kelnerkę? Lichwiarstwo się dobrze urządza: sypie ludziom przynętę, jak ptakom, i klej z pracy na swoją korzyść wydusza. Lichwiarstwo mądre, o!...

Po kwandransie może jazdy, znów zawołała:

— Halt!...

Powóz się zatrzymał.

Nastąpiło to nie przy oberży, luboć oberża widzieć się dawała nieopodal, ale w miejscowości przedstawiającej połączenie dolinki, gaiku i strumyka. Dolinka, gaik i strumień, złożyły sie na całość harmonijną, uroku nie pozbawioną.

— Wysiądziemy tu na chwilkę, odezwała się księżna.

Żądaniu temu, a naczej rozkazowi, stało się zadość. Panie weszły na łączkę.

— Miło tu... nie prawdaż?

Prawda odrzekła hrabina, schylając się celem uszczknięcia fiołka, który się jej w trawie ukazał.

— Fiołki.. lubisz fiołki?

— Lubię kwiaty wogóle.

— I kocięta młode?

— I kocięta.

— I dzieci?

— Tak... i dzieci — odpowiedziała z wahaniem się niejakiem, pochodzącem ztąd, że uczuła coś nakształt wyrzutu sumienia, spowodowanego nieobecnością Żusi, któraby na tej łączce, w tym gaiku, przy tym strumyku była na swojem miejscu.

Księżna nie dała zgryzocie sumienia rozwinąć się.

— Zdecydowałaś się więc swoje dziecko na porę letnią do Gajów odesłać — rzekła.

Hrabina, zdziwiona trochę, zkąd ona o tem wie, odrzekła:

— Tak...

— To dobrze, to bardzo dobrze. Pochwalam to. Dla dzieci nie może być nic gorszego nad czynienie z nich wystawy. Jest to wprost dla nich zguba. Lichwiarstwo (w jej ustach wyraz ten znaczył, co się pospolicie rozumie kapitalizm), ciąga po wodach i stacjach morskich córeczki swoje, ażeby je zaprawiać do funkcjonowania, jak kelnerki po haremach, salonach i kościołach. Lichwiarstwo to nasz wróg, to wróg ludzkości, to zaraza.

Wpadła w ferwor gadulski i byłaby perorowała, gdyby na trakcie nie ukazała się gromadka jeźdźców, hrabinie dobrze znana. Ona też ją spostrzegła pierwsza i wykonała gest, który na siebie uwagę księżny zwrócił.

— Co to?

— Jacyś jeźdźcy odpowiedziała hrabina i zaczerwieniła się po uszy.

— Co za jeźdźcy?

Przyłożyła lornetkę do oczu i rzekła:

— A, wielki mąż przyszłości, stary lis, satelici.

Wyrazy te mówiła powolnie i przez ten czas gromadka, mimo że się posuwała stępem, dojechała na wysokość stojącego landa hrabiny. Baron von Schaubube podjechał do przewodniczącego młodzieńca i słów kilka do niego przemówił. Młodzian niespokojnie głowę naprzód ku widniejącej nieopodal oberży, następnie ku dolinie, zwróciwszy koniowi swemu cugle ściągnął. W chwili tej pojawił się obok niego masztelarz zeskakujący z konia i chwytający konia młodziana pod podbródkiem za uzdę.

Nastąpiło w gromadce całej zsiadanie z koni, po dokonaniu którego odbył się pochód pieszy w porządku następującym: młodzian przodem, za młodzianem, z boku nieco, stary baron; z tyłu, w odległości kilku kroków, kilku satelitów w grupce, posuwającej się bezładnie. Za wytyczną pochodowi służyły dwie panie, jedna z lornetką w jednej, z parasolką w drugiej ręce druga z parasolką w jednej i z bukiecikiem, liczącym cztery fiołki w drugiej ręce.

Księżna za zbliżeniem się młodzieńca przybrała postawę, całkiem różną od tej, w jakiej ją hrabina widywała. Zuchowata i wyzywająca kobieta stała się wyrazem pokory i uniżoności. Widząc to hrabina — i ona się do podobnej nastroiła postawy. Czuła się zażenowaną i zmieszaną mocno. Rzęsy się jej same w dół spuściły i, rzucając cień, nadawały oczom akcent tajemniczości, ubranej w ramy wdzięków, jakie jej oblicze, jej warkocze, jej ramiona, jej piersi, jej kibić, jej postawa cała gromadziła na sobie. Rzęsy zasłaniały przed nią widok. Przez firanki ich widzieć jeszcze mogła przybywające osoby nie wyżej, jak do pasa, najdokładniej zaś luboć nie w całości, widziała stojącą obok trochę na przodzie księżnę, która, gdy młodzieniec przed nią się zatrzymał i niezrozumiałych wyrazów parę do niej przemówił, dygnęła nisko, że prawie do ziemi przysiadła, odpowiedziała głosem od wzruszenia drżącym, a niewymownie słodkim:

— Dzień dobry, wasza książęca mość.

Hrabina rzęsy nieco do góry uniosła i ujrzała młodzieńca zwróconego obliczem ku niej. Usta się mu zaruszały, z ust wypłynął bełkot, w którym najwyraźniej zabrzmiał wyraz końcowy:

łał. Dwie latarnie morskie stojące na krańcach, wybudowane w 1873 do 1874 r., rzucają promienie na przestrzeni 20 mil morskich. Wieże te są arcydziełami sztuki budowlanej. Założenie fundamentów w lotnym piasku nastręczało olbrzymie trudności, a gdy wybudowano pierwszą wieżę, szalony orkan zniszczył ją do szczętn. Wieże, stojące obecnie, choć wznoszą się do wysokości 136 stóp, już od lat dwudziestu wytrzymują dzielnie najsroższe wybryki aury.

Wieżę na stronie wschodniej pomalowano w pasy białe i ciemne, Światło na niej utrzymuje się stałe. Jej towarzyszka po stronie zachodniej jest cała biała, a lampa na niej, urządzona przez mechanika Chanteloup w Montreal, stanowi wynalazek jedyny w swoim rodzaju. Aparat składa się z czternastu lamp, niezmiernie jasnych, z których każda posiada srebrne zwierciadło wklęsłe. Lampy podzielone są na grupy: pierwsza składa się z czterech płomieni druga z sześciu, trzecia także z czterech. Cały aparat wraz z reflektorami obraca się w jednostajnem tępie z pomocą maszynerji dość skomplikowanej, a ogień ukazuje się i niknie w jednakowych przestankach.

W prostej linji obie latarnie oddalone są od siebie o 17 mil morskich.

Podczas jasnych nocy, przytrafiających się tu zresztą bardzo rzadko, z galerji jednej wieży widać dokładnie światło na drugiej. Czasami błysną także ogniste punkty rakiety sygnałowej i wówczas strażnik budzi swych towarzyszy, bo widocznie „coś się tam stało". I niebawem trzy milczące postacie stają na galerji, badając uważnie horyzont, poczem jeden ze s rażników wraca spiesznie do wnętrza, by spojrzeć na barometr i do aparatu telegraficznego, z pomocą którego komunikują się na obu wieżach, oraz ze stacją główną. Stacja też zawiadamia szybko, co się stało. Zwykle znaki, dawane przez rakiety, oznajmiają o rozbiciu okrętu. Stacja główna leży w środku wyspy i składa się z domu inspekcyjnego, obok którego wznosi się wysoki maszt z gniazdem bocianiem. Z wysokości owego masztu widać dokładnie całą wyspę. W około domu inspekcyjnego wznoszą się budynki, które służą w części na mieszkanie dla załogi ratunkowej, w części zawierają składy przyrządów ratunkowych. Nizkie te domki, prawie wszystkie wybudowane z drzewa, pochodzącego z rozbitych okrętów. Nade drzwiami jednego z nich błyszczy złoty napis „Hope" (Miej nadzieję). Jest to schronienie dla rozbitków, w którem znajdują oni opiekę i pomoc lekarską. W jednem ze skrzydeł mieści się pokój, w którym składają topielców, gdy wszystkie próby przywołania ich do życia okażą się daremnemi i jedyna w swojem rodzaju biblioteka „Sable Island" złożona z książek wyłowionych w morzu. Oprócz stacji głównej co cztery lub pięć kilometrów od siebie oddalone stoją stacje pomocnicze w liczbie trzech. Na każdej z nich mieszka dziesięciu ludzi, których całem zadaniem jest dawać baczenie na morze. W razie jeżeli dostrzegą okręt w niebezpieczeństwie, telegrafują natychmiast do stacji głównej.

Całe urządzenie świateł ratunkowych, telegrafów i t. p. powstało kosztem rządu kanadyjskiego, a do utrzymania „Humane Establihsment" przyczynie się corocznie Anglia, gdyż je, okręty stanowią znaczny procent wszystkich statków, przepływających po tej części oceanu.

Gromadka ludzi, pełniąca swe obowiązki na wyspie w najgorszych warunkach klimatycznych, odcięta od reszty świata, żyje jak na wygnaniu. Jedyną myślą, łączącą ich ścisłym węzłem, jest ratowanie ludzi, a przyjemnością obcowanie z rozbitkiem, którego uratowawszy od niebezpieczeństwa, przyjmują gościnnio na samotnej wysepce, wystawionej przez 150 dni w roku na burze i mgły.

To też gdyby wieść o zapadaniu się Sable Island okazała się prawdziwa, szkoda stąd byłaby niepowetowana, bo „Cmentarz oceanu Atlantyckiego" stałby się jeszcze bardziej dla żeglarzy niebezpieczny, a z powierzchni ziemi zniknąłby zakład, który powołała do życia miłość bliźniego.

Druid skamieniały.

Na pustym stepie, w wielkiej powietrznej przestrzeni, grupa głazów ułożyła się w kształt człowieczy, w kształt harfiarza, w półleżącej pozycji, z harfą w ręku. Czas odkruszył mu już prawie ramię, a po nogach jego póty deptano, aż wydeptano przez nie ścieżkę, miażdżąc uda ogromne. Mchy porosły druida i głazy obok od wieków śpiące. Szare smutne niebo, na bezmiar rozpięte, ma w sobie tę dziwną zadumę i melancholję, jaką miewa niebo nad pustkami. Niewidzialne słońce, widocznie zachodząc kędyś za ziemi krawędzie, rzuca silne odblaski na grupę głazów, świetląc mchy i porosty.

Tak przedstawia się wystawiony w salonie p. Krywulta ostatni obraz Leonu Wyczółkowkiego pod tytułem „Druid skamieniały".

Malowidło to sprawia przedewszystkiem wrażenie potężnym wyrazem twarzy, jaki artysta nadał głowie skamieniałego harfiarza: majestat wielki, królewski i arcykapłański zarazem, moc ducha, dominująca i dumnie siebie świadoma rzeźbią się na tej pięknej, wspaniałej głowie kamiennego starca. Bo niewątpliwie w fantazji artysty grupa głazów nie przypadkiem ułożyła się w kształt człowieczy gdzieś na pustyni stepowej, ale jest to jakiś przedwieczny bard skandynawski, czy dawnych Celtów pieśniarz, albo może szkockiego Osjana druh prastary. Tajemniczość czar minionych przedhistorycznych czasów owiały skamieniałego druida mgłą bezkresowych zamyśleń.

Być może że artysta widział gdzieś grupę kamieni podobną i w twórczej duszy jego, w tej skrzydlatej, nieodgadnionej i nie rozumnej fantazji poety, zamieniły się one cudownie w po-

---

„Gräfin". Przynajmniej tak jej się wydało. Więc dygnęła, dygnęła jak mogła najniżej, bacząc jeno na to, ażeby dla podniesienia się nie potrzebowała uciekać się do pomocy rąk i przybierania tej nieestetycznej postawy, która nosi trywialną nazwę: „stawania rakiem". Dygnęła i bez wysiłku szczególnego powróciła do podstawy stojącej. Wówczas o słuch jej obiła się zamiana pomiędzy młodzieńcem a księżna wyrazów, których połowy nie zrozumiała. Nie zrozumiała mianowicie tego, co mówił młodzieniec, albowiem on mowił, ale bełkotał. Zabełkotał raz. księżna słodziutkim głosem odpowiedziała:

— W rzeczy samej, prześliczny.

Zabełkotał drugi raz.

— W rzeczy samej, prześliczna, powtórzyła z jedyną w rodzaju przymiotnika zmianą.

Zabełkotał raz trzeci.

Znów księżna powtórzyła:

— W rzeczy samej prześliczne.

Przymiotnik, znajdujący się we frazesie, przeszedł w pierwszym spadku przez wszystkie trzy rodzaje w kolei gramatycznej.

Po wygłoszeniu przez księżnę odpowiedzi w rodzaju nijakim, młodzieniec do niej powiedział coś zawsze niezrozumiałego, ona mu „pleno titulo" podziękowała i dygnęła.

W też pędy dygnęła i hrabina.

Kroki zatętniły. Hrabina rzęsy podniosła i ujrzała młodzieńca i jego satelitów, wsiadających już na koń, a barona Schaubube, ściskającego z głębokim ukłonem dłoń księżny.

Baron mówił głosem przyciszonym:

— Dziękuję, o. dziękuję...

— Cóż? Nie dobrze? — odparła księżna.

— Doskonale, znakomicie... po mistrzowsku.

— A widzisz, stary lisie!... I starzyzna przydać się może niekiedy.

Baron zwrócił się do hrabiny, dłoń jej uścisnął, słów parę uprzejmych rzucił i oddalił się z pośpiechem starego człowieka, zdążającego za młodymi.

— Otóż niespodzianka nas spotkała – odezwała się księżna, gdy gromadka jeźdców koni dosiadła. niespodzianka taka zaszczytna!

Ujęła hrabinę pod ramię.

— Nie prawdaż, to pięknie? — zapytała.

— Pięknie — odparła zapytana.

— Szczęśliwe zdarzenie — zaczęła, prowadząc towarzyszkę wzdłuż strumyka. — Widocznie jesteś wybranką Opatrzności. Zachowałaś się znakomicie, tak właśnie, jak potrzeba, ażeby się kazać pożądać. Nie jest to rzecz łatwa dla damy światowej, nieumiejącej zazwyczaj zachować środka pomiędzy trusiostwem pasterki a impetycznością hetery.

Ta głupia Guiepsek szamotała się nadaremnie. Takie Guiepsek sprowadzają jeno zblazowanie, pozbawiające wpływu kobiety uczciwe. Tyś moja kochana, jest taką, jakiej właśnie potrzeba; zachowujesz ten środek, który zapewnia wpływ, więcej niż wpływ: panowanie.

Schaubube podsuwał pasterki, podsunął siostrzenicę własną: na nic się to nie zdało. Ciebie podsunęła Opatrzność. U wód będziesz swobodniejsza. Ale — zmiarkowała się — sądząc wedle tego. com dziś widziała, rad ci dawać nie potrzebuję. Pomnij jeno, że masz do rozwiązania ważne, ogromnie ważne zadanie: wybodowanie Samsona na zgniecenie, zduszenie, zniszczenie lichwiarstwa, na rozdarcie tej lwiej paszczeki, co ludzkość pożera.

Uszła kilkadziesiąt kroków w milczeniu, nawróciła i znów zaczęła:

— Gdybym była młoda, rozkochałabym się w nim napewne. Ile wyrazu w oczach co za czoło, jaka postawa rycerska.

Hrabina się uśmiechnęła, pomyślawszy o ustach, nosie, o uszach nie nader estetycznie do głowy przylepionych i o bełkotaniu, wyobrażającem mówienie, którego ona zrozumieć nie mogła.

Księżna uśmiechu tego nie widziała. Prawiła dalej o wielkich, jakie ów „on" budzi nadziejach, opartych na pomysłach, do których samodzielnie w latach dziecinnych dochodził. Czyż nie wynalazł katapulty na muchy? Dla wyzyskania takich zdolności na rzecz wielkiego dzieła rozdarcia paszczy lwowi lichwiarstwa, nie masz ofiary, którąby za wielką była.

— Wiesz przeto o wszystkiem — kończyła księżna, dochodząc do pojazdu. Sprawa na dobrej drodze, stary lis ją rozumie, a chociażby i nie rozumiał, to już się sama, dzięki twojemu taktowi, do końca dotoczy.

Panie wsiadły. Konie rzęsistym kłusem powiozły ję do Wiednia. W mieście lando zatrzymało się naprzód przed mieszkaniem księżny, przed pałacem, należącym do zabytków dawnych czasów. Księżna wysiadła, pożegnawszy hrabinę komplimentem:

— Ty najpierwsza jesteś kobietą, co mi się zupełnie podoba.

Kompliment ten w ustach weredyczki miał swoją wartość.

Hrabina podziękowała zań uśmiechem, poprawiła się się w siedzeniu z takim akcentem, jakby doznała ulgi w czemś, co jej ciążyło i, gdy się na schodach domu, w którym mieszkała, znalazła, śpieszyła, jakby jej co na pośpiechu zależało.

Może śpieszyła dlatego, że się trochę przypóźniła.

Mąż się już niecierpliwił.

— Ano, przyjechałaś nareszcie.

Temi słowy ją przywitał.

stać harfiarza na pół zdruzgotaną. Podobnie fantazja ludowa dopatruje się w pojedynczych turniach tatrzańskich i całych grupach skalnych kształtów widm różnych, potworów ludzi i zwierząt. Są tam mnichy brodate, sowy, djabły zaklęte i t. p. Nawet wielki Gewont podobnym się staje w rozmarzonych księżycowemi nocami oczach do sennego rycerza w hełmie, z brodą, w pancerzu na wznak leżącego, twarzą ku nie bieskiej cichości. Kiedyś przyjdzie może artysta, który poemat ten przeniesie na płótno, uplastyczniając ze swobodą twórczej maginacji to, co natura, bezwiednie, olbrzymiem swojem dłutem naszkicowała, kując podchmurną górę, ludzkiemu kształtowi podobną.

Wyczółkowski mógł podobną grupę głazów widzieć, mógł też ujrzeć ją tylko w swojej duszy i ztamtąd wydobywszy, światu przed oczy postawić.

W pierwszym wypadku byłby fantastycznym impresjonistą, w drugim trzebaby go zaliczyć do coraz rosnącego dziś zastępu symbolistów.

I to drugie byłoby podobno słuszniejsze. Mogła Wyczółkowskiemu natura temat do „Druida“ podsunąć, ale prędzej podszepnęła mu ją ta moc nieznana, która się zowie natchnieniem, prędzej uważać można „Druida“ za błysk tego „feu sacré“, który płonie w piersiach artystów.

W utworze impresjonistycznym szukaliśmy przedewszystkiem efektów technicznych: tu, wraz z twórcą, myśleć musimy. nie wiem, czy przy obrazie Wyczółkowskiego umysł nasz nierównie tyle jest zajęty, co oczy.

Może obraz ten tłumaczy się, że artysta chciał przedstawić przedwieczną, z przed tysięcy lat pieśń, myśl jakąś, wiarę, która, mimo ze zapomniana już przez ogół, deptana nawet przezeń, z zupełną swobodą ludzi, którzy ani nie wiedzą, że depczą, ani, co depczą: jednak trwa jeszcze. Z wilgocią ziemną, z deszczem, burzami — bo grom może odbił prawe ramię, struny harfy potargał — z czasem niszczącym, walczy ten skamieniały druid, podobnie, jak walczą z niemi skały wysokie z granitu.

Mogłaby być także ta pieśń, surowa pierwotna, a tak potężna i króleska w sobie, przeciwstawieniem do późniejszych pieśni, odmiennych od niej tylko. I nawet podobno miał artysta chwilowo zamiar na ścieżkę, biegnącą obok druida i przez jego nogi wydeptaną, wprowadzić dwu trubadurów średniowiecznych, aby sobie dwie epoki w oczy spojrzały: twarda natura potęga i wykwit cywilizacji — sztuka.

Ostatecznie jednak, tak jak jest, jest — lepiej, a ta samotność około lwiej głowy skamieniałego druida więcej mówi, niżby najaskrawsze kontrasty zdołały powiedzieć, poezja zaś pełną falą spływa na obraz, szeroka i bujna. Poezją, wielką i prawdziwą, jest dzieło Wyczółkowskiego, a to jest najwyższą pochwałą, jaką o niem rzec można.

Jeżeli zastanowimy się teraz nad stroną techniczną obrazu, przedewszystkiem uderzy nas ogromne bogactwo kolorów, a nawet do pewnego stopnia ich nadużycie. Przepyszna w rysunku postać druida, gdyby była mniej kolorowana mimo, że wszystkie barwy są bardzo szlachetne robiłaby z pewnością wrażenie większe, miałby w sobie więcej jeszcze powagi i majestatu. Wywołanie zadumy, skupienie myśli widza i poprowadzenie jej gdzieś w oddali było widocznym celem artysty; tymczasem bardzo świetlne refleksy na ramionach i piersiach druida, rozrywają uwagę, mącą myśl, przeszkadzają kompletnie poddaniu się wrażeniu, nastrojowi. Pewna szarość, właściwa zresztą kamieniom zawsze, w najjaskrawszych nawet grach słońca, odpowiadałaby może więcej treści; monotonniejszy i bledszy rozkład barw harmonizowałby może lepiej z rysunkiem. Ten ostatni podoba mi się stanowczo więcej w samej postaci druida, niż malowanie: plastyka jest wspaniała, siła ogromna czuć, że to głaz kolosalnej wagi. A przytem rysunek dziwnie szlachetny i mistrzowsko wykończony.

Leżące obok omszone kamienie — może także cokolwiek miejscami za wyraziście barwne — są wprost prześliczne. Aksamitną miękość mchu uwydatnił artysta przepysznie, a są poszczególne części tego pejzażu w niższej części obrazu, którym równych w swoim rodzaju niełatwo znalešćby można. Jestto doskonała i świetna robota.

Step i niebo po nad nim czy nie za blade w stosunku do kolorów skoncentrowanych na postaci druida? A raczej nie za barwne-li ono w stosunku do nich? Oddycha się tam jednak szerokiem powietrzem stepowem, błądzi się myślą w pustkowiu niezmiernem.

Kilka słów o Wörishofen.

Wobec cudów, jakie opowiadają entuzjaści o skutkach kuracji kneippowskiej u jej źródła, tj. w Wörishofen, nie od rzeczy będzie w imię zasady: „audiatur et altera pars“, dowiedzieli się odwrotnej stronie tego metalu. W tym celu powtarzamy za petersburkim „Krajem“ uwagi i spostrzenia jednego z wörishofskich kuracjuszy:

Spędziwszy dla poratowania zdrowia kilka miesięcy we wsłowionem przez ks. Kneippa Wörishofen, miałem sposobność bezstronnie rozpatrzeć miejscowe warunki i opis ich szczegółowy uważałbym za bardzo pożyteczny dla ogółu polskiej publiczności, a w szczególności dla osób, które olśnione modą i reklamą, albo też powodowane chęcią poprawy zdrowia, przyjeżdżają tutaj w wielkiej liczbie i na miejscu doznają częstokroć wielkiego rozczarowania, już to z przyczyny wielkich niewygód pod względem życia i mieszkania, już to niekiedy z powodu małej poprawy zdrowia.

Aby dojechać do Wörishofen, trzeba z Monachium wziąć bilet drogi żelaznej do malutkiej stacji Türkheim, gdzie zawsze można znaleść

— Gdybyś był ze mną pojechał, byłabym się nie spóźniła.

— Zapewne, ale byłaby mnie spotkała wymówka, że się ciebie za spódnicę trzymam.

— Trzymaj się, mnie to nic nie szkodzi; a tobie?

— I mnie nie. Jeżeli wadzi komu, to chyba Karolowi.

Hrabina się przebrała i w chwilę później, przy stole, zdawała mężowi sumaryczną sprawę z wypadków, jakie ją na spacerze spotkały. Zjadając sznycle, których był zdeklarowanym amatorem, pan Alfred słuchał w milczeniu opowiadania o zjechaniu się z księżną, o przeniesieniu się jej do landa hrabiny, o piciu przez nią piwą, aż gdy z kolei nadeszła scena na dolince. zapytał, połykając nie całkowicie zżuty kęs:

— Cóż? nie prychnęłaś?

— Jak miałam prychać, kiedym się bała:

— Czego?

— Czego? Czy ja wiem! Wiem tylko, że mi nie do śmiechu było. A potem.

— Co potem?

— Gadanie księżny..

— Plecie baba, jak na mękach.

— Plecie... zapewne.. jednakże.

Nie tłumaczyła się jaśniej. Zrozumiała ona rolę, jaką jej wyznaczono, i rola tą nie podobała się jej — nie podobała się jej dla dwóch powodów. które by się nazwać dały: jeden uczuciowym, drugi instyktowym. Tego poczucia godności własnej, które damy światowe, dzięki otaczającym je przykładom i pokusom, zatracają, ona nie zatraciła. Nie nadawała się zgoła do „Coeur de femme“ (vide P. Bourget). Nie nęciła jej szczytność upadku, ani dla wielkiego męża w przyszłości, ani dla wielkiego męża w teraźniejszości, a doznawała pewnego upokorzenia wobec tego, że ją pchano ku młodzieńcowi.

Tyle co do uczucia. Co się zaś instynktu tyczy, stanął on oporem wobec racji, za pomocą których księżna usiłowała wprowadzić hrabinę na drogę bądź co bądź śliską. Wobec drogi tej wzdragała się ona, jak się wzdraga nie kuty koń, gdy go jeździec po lodowej śc zmusza szybie. Nie odważała się na tę śliską drogę wejść, a wabiona na nią przez księżnę i przez brata, nie szukała zasłony w mężu. Skąd pochodziło to ostatnie? Czy się obawiała, ażeby mąż nie stanął po stronie księżnej i brata? Czy może odnosiło się do tego momentu, kiedy jej hrabiance Brzdąckiej, oznajmiono, że n rękę jej stara się hrabia Piecki i ona, w przeświadczeniu że jeżeli nie za tego, to za innego za mąż iść musi, przyjęła oznajmienie to obojętnie, oddając rękę swoją panu Alfredowi dlatego jeno, że nie czuła do niego wstrętu. Przypuszczalną jest przyczyna ta jednak, jak druga. z dołączeniem tego spokoju, który stanowi temperamentu jej właściwość. Właściwość owa odpowiadała przymiotom pana Alfreda i uczyniła z państwa Alfredostwa stadło małżeńskie, któremu podobnego nie doszukałby się w korcu maku. Nie potrzebowali z sobą omawiać subtelności pożycia, rozumieli się bez szerokiego gadania i ufali sobie wzajemnie, zgadzali się przytem z góry na zachcianki, jakie jednemu lub drugiemu do głowy przychodziły. I tak, gdy czasu onego jednemu z nich, (niewiadomo któremu — rzecz ta nigdy dociekaną, bo dociekaną nie była), zachciało się w Wiedniu zamieszkać i Kaniowski, o zamiarze się dowiedziawszy, na wydatki uwagę zwrócił, pan Alfred zadecydował oszczędność, pani Alfredowa decyzję tę uznała, przyjęła i do niej się ściśle stosowała. I nie było o tem gadania. Wogóle mało z sobą mówili, nie czulili się, nie pieścili, nie całowali się przy ludziach, ani nawet bez ludzi, nie kłócili się z miłości, ani nie z miłości, nie pałali jedno względem drugiego gniewem przemijającym, ani nie przemijającym — nie wiedzieli, czy się kochają, czy nie. Przystawali do siebie, jak gwinty śruby dokładnie otoczonej, jak dwie deski starannie zheblowane. jak dwie nuty w harmonji się spływające. Dlatego to hrabina, opowiadając mężowi szczegóły spaceru, nie powtarzała rozumowań księżny, wabiącej ją na ślizgą drogę Spuściła sie na swój instynkt.

Nazajutrz pan Karol zjawił się u hrabstwa w humorze różowym.

— Przychodzę z powinszowaniem... — zaczął.

— Z okazji — zapytał pan Alfred.

— Winszuję najprzód tobie — do siostry się zwrócił.

— Czego odparła.

— Naprawienia w zupełności efektu śmiechu. Byłaś poprawną, „correcte, correcte“ do najdrobniejszych szczegółów. Przyznaje to księżna, przyznaje baron, przyznają wszyscy co się tej scenie przypatrywali.

— Jakiej scenie? — odezwał się pan Alfred tonem znamionującym zaintrygowanie.

Pan Karol spojrzał na siostrę z wyrazem, oznaczającym zakłopotanie. Hrabina odpowiedziała:

— Na dolince. Mówiłam ci.

— A... No?... więc cóż?

— Milcia była „correcte“...

— Zapomniała języka w gębie.

Hrabina słowa te potwierdziła i żartowała sama z siebie, opowiadając, jak przysiadła, jak oczy spuszczała i jak oglądała buty i spodnie.

— A! rozumiem teraz, skąd się twoja poprawność wzięła: nie widziałaś tego grymasu — podchwycił pan Alfred.

— Nie żartowałbyś — poufałego napomnie-

omnibusy parokonne, utrzymujące komunikację z Wörishofenem na przestrzeni kilometrów czterech.

Po przyjeździe na miejsce, gość kąpielowy musi szukać lokalu i tu zaraz spotyka się z wieloma kłopotami. Mieszkania tutejsze są trojakiego rodzaju: w hotelach, willach i chatacc chłopskich. Przebywanie w hotelach naraża na wiele niedogodności; najprzód bowiem jest drogie, powtóre niespokojne, gdyż ciągły ruch gości, ich przyjazdy i wyjazdy przeszkadzają spać w nocy co szczególniej dla osób nerwowych jest strasznem; nakoniec ciągłe stołowanie się w hotelach jest bardzo drogie, niezdowe i prawte niemożebne. Nadto hotele w Wörishofen są właściwie prostymi tylko zajazdami, gdyż z małymi wyjątkami, całe urządzenie ich odpowiada zaledwie skromnym wymaganiom wiejskim, a na dobitek pod pokojami gościnnemi znajdują się zawsze ogromne sale, gdzie wieczorem tutejsi chłopi piją piwo do późnej nocy. Ceny w tych zajazdach wynoszą: za pokój na jedną osobę od $1^{1}/_{2}$ do 2 marek, dla dwóch osób 2 do 3 marek dziennie, przyczem światło i opał liczą się jeszcze; a oprócz tego, właściciele hoteli wymagają obowiązkowo, aby goście wynajmujący pokoje stołowali się u nich i w razie odmowy jeszcze bardziej podnoszą ceny pokojów, kuchnie zaś hotelowe przypominają nasze restauracje niższego rzędu, goście przeto narażeni bywają nietylko na drożyznę. ale na choroby z niestrawności pochodzące.

Daleko wygodniej zatrzymać się wilach, których zbudowano tu bardzo wiele. Właścicielami ich są po większej części przybysze z całych Niemiec, którzy pobudowali tu na prędce piętrowe domki z cegły, nakształt karcianych, których ściany na dole złożono w dwie albo i półtorej cegły, a na górze w jedną. Piece są żelazne, rzadko kaflowe, a wszystkie bez szubrów; okna po większej części pojedyńcze, rzadko podwójne. Można wię sobie wyobrazić, że w podobnych budynkach, podczas mrozów dochodzących do 18 stopni, cienkie ściany przemarzają bardzo łatwo, piece, które podczas palenia dają mało ciepła, wystygają bardzo prędko a od okien wieje niemiłosierne zimno, gdyż Wörishofen, jako położone na płaskowzgórzu 600 metrowem w bliskości Alp, narażone jest na częste i silne wiatry; gdyby nie hartująca człowieka zimna woda, zmarznąćby tu można nawet w łóżku. Cena pokoju w wili liczy się dla jednej osoby 1—$1^{1}/_{2}$ marki wraz z opałem i światłem, a dla dwóch osób 2—$2^{1}/_{2}$ marek, przyczem zauważyć należy, że w każdym pokoju nieco większym stawiają tu dwa łóżka, zostawiając tylko małą przestrzeń, na której obrócić się niepodobna, i liczą za taki apartament cenę wyższą, choćby go nawet zajęła jedna tylko osoba. Nadto w wilach, podobnie jak w hotelach, lokator musi być zarazem stołownikiem, a w tym razie cenna całodziennego utrzymana wraz z mieszkaniem, czyli t. z. pensja, wynosi dla jednej osoby przy licznym zjeździe gości w letnim sezonie 3 — 5 marek, w jesieni zaś, na wiosnę lub w zimie 3 — 4 marek. I tu więc zmuszają do niesmacznej niemieckiej kuchni, do spożywania tego co dają w „table d'hôte,“ bez możności wybierania sobie potraw, co dla osób cierpiących tem jest niebezpieczniejszem, że obiady gotują nie kucharze ani kucharki, lecz nie znający się na rzeczy żony lub krewne właścieli domków. Cóż dopiero mówić o nieszczęśliwych lokatorach takiej willi, którą właściciel wypuścił w dzierżawę!

Mieszkanie w chatach chłopskich ma tę dogodność, iż płaci się taniej i przytem tylko za pokój bez żadnych zobowiązań na koszt żołądka. Za to lokator taki przypomina sobie czasy pierwotne ludzkości: izbę ma nizką, brudną, w sąsiedztwie stajni i obory, mieszczących się, wedle tutejszego zwyczaju, pod jednym dachem z domem mieszkalnym. Wobec takich warunków doprawdy niejeden zaraz po przybyciu żałuje swego przyjazdu, ale pociesza się tem, że znajdzie tu opiekę lekarską i środki do pozbycia się cierpień.

Uporawszy się więc jakkolwiek bądź z mieszkaniem i życiem, gość kąpielowy rozpoczyna swą kurację. Co do tego istnieje tutaj, ustalony już przez czas, następujący porządek: gość musi się udać do kancelarji związku kneipowskiego (Kneippverainu), gdzie za dwie marki wydają mu drukowaną książeczkę; z nią następnie idzie się do jednego z lekarzy kąpielowych, który go bada i djagnozę swoją wpisuje do ksiażeczki; nakoniec o pewnej z góry o oznaczonej godzinie pacjent otrzymuje wstęp do osobnej sali, gdzie w obecności jednego z lekarzy kąpielowych, oraz i innych czasowo dla praktyki przebywających doktorów, ks. Kneipp udziela ogólnej porady w sposób następujący: lekarz czyta z książeczki głośno djagnozę choroby, a ks. Kneipp zaraz dyktuje jakie mają być zarządzone oblewania i zabiegi hydropatyczne w ciągu pierwszych dni 10 lub 12. Cała ta porada ks. Kneippa trwa zaledwie jedną albo dwie minuty. Po upływie oznaczonych dni 10 lub 12 chory zjawia się znowu na poradę, która odbywa się w takim samym porządku i trwa także jedną albo dwie minuty.

Niektórzy chorzy, pragnąc usłyszeć coś więcej określonego o swojem zdrowiu, udają się na tak zwaną oddzielną poradę, za którą się płaci 3 marki, ale i ta odbywa się bardzo prędko i w obecności tylko jednego lekarza kąpielowego. Po za tem ksiądz Kneipp dla chorych jest niedostępny.

Stosownie do opisanego porządku, łatwo sobie objaśnić, że ks. Kneipp w ciągu kilku godzin jest w stanie udzielić poradę 150 — 200 osobom, a choćby gości było mało, to zawsze porada odbywa się jednakowo.

(Dokończenie nastąpi.)

---

nia tonem odrzekł pan Karol. Dobra żona mężów korona.

— Wiem o tem przecie.

— Pocałowałbyś Milcię w rękę.

— Na podziękowanie.

— Za co?

— Za to, żę ci drogę do ambasady ściele.

— Ij, ta ambasada nie bardzo mnie obchodzi.

— Ani mnie — dodała hrabina.

— Nie odrzuciłbym — ciągnął pan Alfred, ale bym się potargował i nie przyjął lada jakiej Bo i do czego to? Miliarda ani na ambasadzie, ani na ministerstwie nie zarobię, dla ludzi nic nie wykrzeszę, jak bywało, tak będzie, więc, jeżeli wam chodzi o to, ażebym był, nie czysto Pieckim, ale jego ekscelencją Pieckim, nie przeszkadzam wam, pomagam nawet.

— Dziwna z was para odezwał się pan Karol po chwilce milczenia.

— No?

— Zdaje się, że ambicja obcą jest wam, jednemu i drugiemu.

— Co ty gadasz!... Ambicja nam obca? Powiedz raczej, nie ma jej da czego przyczepić. Inaczej bowiem, czyż to nie ambicja, iżbym sobie życzył ambasady w Paryżu, w Londynie, w Berlinie, a przynajmniej w Rzymie, nie zaś gdzie w jakiejś dziurze, o której świat wie mało co?

— Nie starasz się jednak, zabiegów nie czynisz.

— Zabiegów nie czynię? nie staram się? Czy ministrów nie odwiedzam i rad im zdrowych nie udzielam? Czy na balach nie bywam?

— Czy ja z mojej strony nie przysiadam do samej ziemi? wtrąciła hrabina.

— Czy do klubu nie chodzę? — ciągnął pan Alfred. — Czy dom mój zamykam? Czy matador nie przyjmnję? Czegóż chcesz więcej? Nie mogę przecie ani Kalnokiego ani nawet Taafego za kolana łapać i prosić: „ambasady!... ambasadki!...' ambasadeczki!... złoty panie.“ Dadzą, dobrze; nie dadzą, obejdziemy się.

Hrabina giestem aprobacyjnym podkreśliła ostatnie wyrazy męża.

— Dziwna z was para — powtórzył pan Karol.

I nie nalegał więcej Znając na wylot szwagra i siostrę, wiedział, iżby się naleganie nie przydało na nic. Miał ich za ludzi, co nawigując po falach światowych, nie posługują się rudlem, a żagle na ich łodzi rozwijają się same. Nawigacja ich przeto zależy od łaski wiatrów. Ażeby łódź ich na jaką skałę się nie natknęła i nie rozbiła, należało komuś nad rudlem i żaglami czuwać. Tym kimś jemu być wypadało, nie ze względów sentymentalnych, odnoszących się do stosunków rodzinnych, ale z uwagi na interesa własne, złożone w łodzi hrabiostwa Pieckich. Inaczej aniby się o nich zatroszczył. Zbieg okoliczności zniewalał go, nietylko nad rudlem i żaglami czuwać, ale i wiatru funkcję pełnić, dmuchając w żagle, gdy się niedostatecznie nadymały. Człek doświadczony, radził sobie umiejętnie i ze spokojem odpowiednim, nie naciągając struny zbytecznie i odkręcając jej zanadto.

W działalności swojej miał pan Karol spółzawodnika w osobie hrabiego Łopacińskiego, którym również interes osobisty powodował. Ten z innej grał nuty. Dowiedziawszy się o tryumfie hrabiny ną dolince, pospieszył z powinszowaniami.

— A, pani hrabino... a pani hrabino... — wynurzał się — jestem dla pani z zachwytem, z admiracją podniesioną do potęgi stutysięcznej. Brak mi wyrazu na wyrażenie jej... Czemu ja nie poeta! czemu ja nie poeta!...

— Cóżby było, gdybyś pan był poetą? zapytała hrabina.

— Proszę pani... Zasmarowałbym zaraz arkusz jeden, arkusz drugi, arkusz trzeci, zasmarowałbym arkuszy z piętnaście.

— Czem?

— Wyrazem mojej dla pani admiracji... A jakby to można pięknie skomponować!... Dolinka... strumyk: „Po dolinie strumyk płynię...“

— „A na nim gęsi, jak świnie“ — podpowiedział pan Alfred.

Hrabina śmiechem wybuchnęła.

— Niema z czem żartować. To nie żarty, upomniał hrabia Łopaciński tonem, w którym urazę czuć było. — To nie żarty panie dobrodzieju.

— To są kluski na oleju.

— Zostawcie to, panie Alfredzie. Tu chodzi o coś ważniejszego, niż kluski.

— O... teki ministerjalne.

— Które chcecie wypoetyzować.. co?

— Bynajmniej. Poezja się nie do tek odnosi.

— Do czegóż?

— Do hrabiny, do doliny, do... do tego, ażeby hrabinę postawić jak zorzę poranną poprzedzającą wschód słońca.

— Stawiaj.

— Ba kiedy nie potrafię.

— Czyż nie ma w Wiedniu którego z galicjanów, co rymy płodzi?

— Znalazłby się niejeden, ale nie taki, jakiego potrzeba, ale — pomyślał chwilkę i zapytał hrabiny: — Gdzież ta dolinka?...

(Ciąg dalszy nastąpi.)